

1. A teraz uważajcie!

*„Razu pewnego, obrawszy niebezpieczną drogę,
Człowiek prawy z pokorą kroczył
Doliną śmierci”.*

Jestem już w takim wieku i na dodatek w takim stanie, że przed snem zawsze powinnam porządnie umyć nogi, na wypadek gdyby mnie w Nocy miało zabrać pogotowie.

Gdybym tego wieczoru sprawdziła w „Efemerydach”, co dzieje się na niebie, w ogóle nie kładłabym się spać. Tymczasem zasnęłam bardzo mocno; wspomogłam się herbatą z chmielu i jeszcze na dodatek wzięłam dwie tabletki waleriany. Dlatego gdy w środku Nocy zbudziło mnie dobijanie się do drzwi – gwałtowne, bez umiaru i przez to złowróźbne – nie mogłam dojsć do siebie. Zerwałam się i stanęłam przy łóżku, chwiejnie, bo rozespane, rozdygotane ciało nie mogło przeskoczyć z sennej niewinności w jawę. Zrobiło mi się słabo i zatoczyłam się, jakbym miała za chwilę stracić przytomność. Zdarza mi się to, niestety, ostatnio i ma związek z moimi Dolegliwościami. Musiałam usiąść i powtórzyć sobie kilka razy: jestem w domu, jest Noc, ktoś wali w drzwi, i dopiero wtedy udało mi się zapanować nad nerwami. Szukając po ciemku kapci, usłyszałam, że ten, kto się dobijał, teraz obchodzi dookoła dom, mrucząc do siebie. Na dole, w schowku na liczniki elektryczne, mam gaz obezwładniający, który dostałam od Dionizego z powodu kłusowników, i właśnie o tym teraz pomyślałam. Udało mi się w ciemnościach wyszukać znajomy chłodny kształt z aerozolem i tak uzbrojona, zapaliłam światło na zewnątrz. Patrzyłam na ganek przez boczne okienko. Śnieg zaskrzypiał i w polu mojego widzenia pojawił się sąsiad, którego nazywam Matogą. Rękami przytrzymał wokół bioder poły starego kozucha, w którym czasem widywałam go, kiedy pracował koło domu. Spod kozucha wystawały nogi w pasiastej piżamie i ciężkich butach do górskich wędrówek.

- Otwórz – powiedział.

Z nieukrywanym zdziwieniem rzucił okiem na mój letni lniany garnitur (sypiam w tym, co latem chcieli wyrzucić Profesorstwo, a co przypomina mi dawną modę i lata mojej młodości – w ten sposób łączę Pożyteczne z Sentymentalnym) i bez pardonu wszedł do środka.

- Ubierz się, proszę, Wielka Stopa nie żyje.

Z wrażenia straciłam na chwilę mowę, bez słowa wyciągnęłam wysokie śniegowce i narzuciłam na siebie pierwszy lepszy polar ściągnięty z wieszaka. Śnieg na zewnątrz w plamie światła padającego z gankowej lampy zamieniał się w powolny, senny prysznic. Matoga stał przy mnie w milczeniu, wysoki, szczupły, kościsty jak postać naszkicowana kilkoma ruchami ołówka. Przy każdym poruszeniu opadał z niego śnieg jak z obsypanego cukrem pudrem faworka.

- Jak to „nie żyje”? – zapytałam w końcu ze ściśniętym gardłem, otwierając drzwi, ale Matoga nie odpowiedział.

On w ogóle niewiele mówi. Zapewne ma Merkurego w milczącym znaku, sędzę, że w Koziorożcu albo w koniunkcji, kwadracie, czy może opozycji z Saturnem. Może to też być Merkury w retrogradacji – daje wtedy skrytość.

Wyszliśmy z domu i od razu ogarnęło nas to dobrze znane zimne i wilgotne powietrze, które nam każdej zimy przypomina, że świat nie został stworzony dla Człowieka, i przynajmniej przez pół roku okazuje nam, jak bardzo jest dla nas nieprzyjazny. Mróz brutalnie natarł na nasze policzki, a z ust popłynęły nam białe obłoki pary. Światło przy ganku zgasło automatycznie i szliśmy przez skrzypiący śnieg w całkowitych ciemnościach, nie licząc czołowej lampki Matogi, która dziurawiła te ciemności w jednym przesuwającym się miejscu, tuż przed nim. Ja dreptałam w Mroku za jego plecami.

- Nie masz latarki? – zapytał.

Owszem, miałam, ale gdzie, tego mogłabym się dowiedzieć dopiero rano, przy dziennym świetle. Zawsze tak jest z latarkami, że widać je tylko za dnia.